

Justyna Hankus

Dwie i pół duszy

Folk noir



powergraph

Warszawa 2023

Copyright © 2023 by Justyna Hankus
Copyright © 2023 by Powergraph
Copyright © 2023 for the cover by Mikita Rasolka
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski i Marta Kładź-Kocot
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Projekt okładki i ilustracja: Mikita Rasolka

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-90-8

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU

Dla moich najdroższych: W., M., G.

Niech będzie dusza jego zawiązana w węzełku życia

1 Księga Samuela 25.29

Prolog

Lato zestarzało się i przytyło, rozlazło po trawach, leniwe i syte, odwrócone tyłem, spało cały dzień, pozwalając, by pająki rozsnuwały nici nad wsią, a spadające z gałęzi gruszki tłukły się na miazgę. Nadal było gorąco, lecz inaczej, jakby gdzieś w środku powietrza kręciła się rozżarzona kula. Pod ziemią coś się trzęsło, przesypywało. Podłoże oddawało ciepło i stapiało proch w żwirowe grudki. Lisy zmieniły kolor z rudego na czerwony, a potem uciekły daleko w las, za ruski poligon. Choć dawno już minął czerwiec, kszyki, zbite w gromadki, narzekały głośno; echo niosło głos po wodzie i wywabiało ludzi z domów. Starzy przykładali dłonie do czoła, obserwując wycinek horyzontu nad jeziorem, jakby spodziewali się czegoś, może burzy, może gości; młodzi wzruszali ramionami, prychali z lekceważeniem.

Właśnie tego lata 1997 roku do wsi Jedna Wola nad jeziorem Rutę, w powiecie mogielnickim, wjechało kilka załadowanych piaskiem i żwirem ciężarówek. Przetoczyły się wolno przez wieś niczym pradawne zwierzęta, ledwo mieszcząc się między domami na wąskiej drodze, zatrzymały pod lasem i kucnęły ostrożnie jak psy. Teleskopowe dźwigary

jęczały przeciągle, pionizując naczepy, z których z hałasem zsypywało się suche kruszywo, wzbijając w powietrze rudy i szary pył. Złęły się potem z niego osówki i muchy, ale takie nie do końca prawdziwe, bezcielesne. Wywrotki szczęknęły zaworami i odjechały pospiesznie, hałasując na wybojach. Przez miesiąc nic się nie działo, aż sypkie kopki zaczęły topnieć i rozłazić się, wślizgując w las. Gdy już wszyscy zapomnieli o rozpuszczonych kopach piachu i żwiru pod lasem, i nastąpiła ciepła i mokra jesień, w październiku przybyły kolejne maszyny – rozglądnęły się bez zainteresowania po okolicy i stanęły tam, gdzie im się spodobało, jakby przypadkowo wybierając miejsce. Potem wielka koparka otwartym pyskiem rozorała odcinek drogi powiatowej 1522N między Jedną Wolą a Jemiołami. W tym samym czasie młoty pneumatyczne skruszyły starą nawierzchnię, a przez ten cały rwetes znad jeziora i lasu uciekła reszta ptaków i zwierząt. Okoliczni mieszkańcy żując przekleństwa i prycając z niedowierzaniem, klęli na błoto we wsi naniesione przez ciężarówki i mówili, że drodze nic nie dolega, że to tylko sołtys chce mieć we wsi nowy asfalt.

— Panie, ludziom wszystko jedno... my i tak między wsiami i na PKS chodzimy na skrót przez Rutki — mówiła do spoconego inżyniera w żółtym kasku stara Mutkowa, krzycząc prawie, bo chciała być dobrze zrozumiana.

Inżynier spojrzął spode łba i odwrócił się tyłem; jemu również było wszystko jedno, miał położyć drogę, to kładł, byle szybciej skończyć dniówkę, bo w domu czekała ciepła żona z dużym biustem i gęsta zupa z wkładką. A tu, przy tym lesie, nad jeziorem, dziwnie się czuł, jakby po plecach nieustannie łążyły mu mrówki, jakby coś na niego patrzyło spomiędzy pni; coś ssało jego duszę i uwagę, tak że musiał już raz zerwać prawie cztery metry źle położonej warstwy wiążącej.

Za zakrętem przez Rutki las zaczynał się grubymi pniami starych drzew. Sędziwy, gęsty od samego brzegu, jakby się

wreszcie wyzwolił z obecności domów i ludzi, od których oddzielała go droga. Światło zamierało zaraz za pierwszymi drzewami, grzęznąć w pajęczynach i rozrzedzając się niżej, by stać się jedynie mrokiem pełzającym po mięsistym poszyciu, najpierw zielonym, potem brunatnym, aż wreszcie czerwonym. Wchłaniało się na dobre przy wzgórzu z Czarną Skałą, gdzie już nikt nie chodził, gdzie szare pnie buków obrastały w lśniącą patynę, która wydawała dziwny, szklany dźwięk. Czasem tylko, po deszczu, przez gęstą koronę drzew przedzierał się promień słońca, mleczny, ostry, tym bardziej niepokojący, że jedyny.

Niektórzy mówili, że widzieli... Zaklinali się na wszystkie świętości, bili w piersi, ale zapytani: co?, nie umieli odpowiedzieć i kreślili dłońmi w powietrzu jakiś kształt duży, nijaki, a potem milkli, przestraszeni, gestem krzyża odganiając mary. Jeden chłop z Jemioł to nawet od tego zwariował, podobno podszedł bardzo blisko skały, bo zdawało mu się, że ktoś go woła po imieniu i ledwo, błędząc po lesie pół nocy, wrócił do domu. Czasami od skały do wsi dochodziło głuche dudnienie, wytłumione i czarne, a kto mógł, chował się wtedy pod dachem.

Przy Rutkach, od strony Jednej Woli, odnoga jeziora, porośnięta gęsto rzesą wodną i trzcina, zmieniała się w zatokę, o której miejscowi mówili bagnisko. Czarna ziemia grząskich, wrażliwych na ruch brzegów mieszała się tu z warstewką glonów i wypuszczała ze swych trzewi życiodajne gazy, dające schronienie stworzeniom o mało przyjemnym wyglądzie obłych, śliskich ciał, ohydnych w dotyku.

W tataraku latem gnieździły się płocie, które nieustannie poruszały i mąciły wodę, brunatną w tym miejscu od mułu uniesionego z dna jeziora. Starzy mówili, że gdy się dobrze przyjrzeć, w mule można zobaczyć przepatrzyki, które – głupie – gubiły się w gęstej wodzie i wypływały na powierzchnię na własną śmierć. Złapać takiego jednak było trudno, trzeba

by się zanurzyć, a tutaj... tutaj nikt nie wchodził do wody, wiadomo, tu mieszkaly odrażające topielice i tutaj rozciągało się królestwo Wodnika. A czasem, jeśli stąpać ostrożnie, można było zobaczyć moczydła, wypływające na moment w porze, gdy dzień przestawał być dniem, a noc jeszcze nie była nocą. Unosiły się wtedy na powierzchni, wystawiając chude piersi ku niebu; czasem śpiewały, czasem śmiały się tylko, a dźwięk wwiercał się w uszy ostrym kluciem.

Moczydła zwykle ustępowały miejsca wijom, których giętkie cielska wzburzały wodę, zaganiając ryby na dno jeziora, do spania. Toń wyglądała wtedy, jakby woda w jeziorze wrzała, unosiła się tysiącami pękających baniek; to zamierała, to wznosiła się nienaturalnie.

Z jednej strony zatoki, pod starą wierzbą, tworzyło się zastygłe plosło, które jak lustro przyjmowało na siebie niebo i wierzbę. W tym miejscu woda wydawała się twarda i nieruchoma jak skała. Steżały wokół spokój, statyczny jak obraz, zmieniał tylko barwy, zgodnie z porami roku.

Wszystko to wraz z nadejściem jesieni więdło, nikło, jakby bagnisko wciągało w siebie kolory. Woda układała się do snu i czekała na nadejście przymrozków, aby dać sobie wytchnienie, stając się jedynie biernym obserwatorem tego, co mogło się wydarzyć, co mogło minąć.

Tuż przed nadejściem zimy prace drogowe nagle ustały i to nie z powodu pierwszych mrozów ścinających powietrze w szklane tafle, lecz dlatego że ziemia osunęła się nagle, tuż przy pysku koparki, którą zachwiała i przewróciła na bok, tworząc wyrwę – głęboką szczelinę, biegnącą w las i wychodzącą po drugiej stronie jeziora, jakby gdzieś pod spodem poruszyło się wieko pradawnej konstrukcji. Główny inżynier z ulgą wrócił do domu, maszyny odjechały, z wyjątkiem koparki zsuwającej się niczym kości diplodoka, centymetr po centymetrze w ziemię, coraz niżej.

Na początku grudnia przyszedł tęgi mróz, wygubił linię horyzontu, spajając jezioro z niebem i lasem, i wypuścił pionowo w dół smugi białego powietrza. Zamroził porzucone przy drodze narzędzia, zamienił żwir w kamień, a kawałki starego asfaltu w kosmiczne rumowisko. Wszędzie zapanaowała cisza, kolory wyblakły, została tylko biel i odcienie szarości.

Świat trzeszczał.

Grudniowego dnia, w południe, od wsi nadszedł młody mężczyzna. Minął gruzowisko na drodze, skręcił w las – szedł nad bagnisko, w stronę wierzby, wypatrując jej starego, pokrzywionego ciała, i znalazł ją wkrótce, lecz obraz się zaburzył, zmienił.

Wierzba pochylała się jak zawsze, ale pod nią zamiast gładkiej tafli znajdowało się wgłębienie, jakby odkryło się dno jeziora, a woda cofając się, zamarzła w podwiniętą falę, sięgającą dramatycznym łukiem gałęzi drzewa.

Mężczyzna stanął i próbował przyrównać to, co widzi, do czegokolwiek, co zna, ale nie potrafił. Zajrzał w głąb dziury, szedł niżej i gdy naruszył kruchą strukturę zmrożonej powierzchni, śnieg zsypał się i odsłonił rybnie trupy, skręcone wije i zamarznątą, czarną topielicę. Między nimi leżał słuczony słój, na którego pokrywce przed dwudziestu pięciu laty Cyganka wypisała słowa zaklęcia.

I Mateusz

Diabeł przyszedł od północy. Stanął na placu, zawył i tupnął nogą. Ludzie uciekli do chat, pozapalali w oknach ogarki, a potem wleźli pod stoły, pod łóżka i nakryli się pierzynami. Cisza zaległa w wiosce. Mróz kręcił powrozy, strach wiązał ludzi w pęczki, a Diabeł wyciągnął kamień i szukał tego, kto go od niego weźmie. Wtedy mały Kozubek, o którym mówili, że jest niespełna rozumu, wyszedł w samej koszuli, boso na mróz. Podkraść się z tyłu do Diabła i pociągnął go za ogon. Diabeł pisnął i podskoczył. Odwrócił się. Kozubek spojrzał śmiało, ale Diabeł uniósł rękę i zepsuł Kozubka. Kamień zniknął, ludzie posnęli, a Diabeł już tylko się śmiał.¹

1. Opowieść Józefa Kosmy (ur. 17.05.1917 r. we wsi Płoskinia, obecnie w powiecie braniewskim, zm. w 1999 r. w Jemiolach) o tym, jak Kozubek doznał porażenia w nogach.

Rozdział I.1

(marzec 1967)

Wetnista noc rozrzedzona białym księżycem wypuszczała spod siebie wstęgę lichego asfaltu, meandrującą przez las. Droga szemrała jak strumień, sepleniała na dźwięcznych głoskach, lecz nie przestawała gadać, zwracając się do lasu przymilnie, namawiając go, by ją objął, otulił. Las przysłuchujący się tej czulej pieśni pozostał jednak nieruchomy, posyłając jedynie na pobocze łopuchy i osty, które schylały się nad nawierzchnią. W tę miłosną przestrzeń obietnic weszła o północy dziewczyna. Szła od Rutek, śpiewała cicho, tylko dla siebie, choć nie dla siebie założyła niedzielną sukienkę i rozpuściła włosy, sięgające pasa. Jej szczupła figura i lekkie kroki zdradzały młody wiek, jej szeroko otwarte oczy nie zdradzały niczego. Dziewczyna minęła gęstwinię drzew i jak po sznurku doszła do pagórków nachodzących na siebie tam, gdzie liście tworzyły pod szarymi, wyglancowanymi pniami buków gruby, czerwieniący się kożuch. Nieruchome i zamglone powietrze trwało w zatęchłej ciszy i tylko blade światło księżyca wpadało w tę przestrzeń,

tnąc ją na nierówne części. Za stopami dziewczyny liście unosiły się samoistnie, przesuwały, wirowały i opadały z jękiem. Nie było widać żadnych nocnych zwierząt, pełzały jedynie w zapętlonych korowodach owady i pająki, którym obojętna pozostała zła sława i atmosfera niepokoju, jaka przylgnęła do tego miejsca.

Na środkowym wzniesieniu, pozbawionym drzew, wystawał kościsty głaz, pomięty w nierówne fałdy, na wierzchu szary, przy ziemi czarny jak sadza. Poszycie ruszało się przy nim niemal jak nurt wody, tyle tu było wijów – pareczników, skąponogów i korców oraz lepkich, miękkich gąsienic, pełzających, by pożreć obrzydliwe larwy lęgące się z miazmatów.

Dziewczyna, nie zważając na robactwo, weszła na głaz i przytrzymując się ściany bosymi stopami, wspięła się na górę. Położyła się na skale, przylgnęła do niej brzuchem, piersiami. Objęła szczyt całym ciałem i kołysząc się do ślepej muzyki, jęła go gładzić długimi, jasnymi włosami zebranymi w garść, aż zrobiły się całkiem czarne.

Stefan zbudził się nad ranem. Usiadł gwałtownie, dysząc, dotknął szyi; gardło zapiekło się w twardą grudę, barki pulsowały z wysiłku, jakby właśnie skończył rąbać drewno, a oczy szczypały jak zasypane pyłem. Rozejrzał się półprzytomnie, wstał i ostrożnie podszedł do łóżka ojca w drugim końcu izby. Nachylił się nad nim, posłuchał oddechu – Wojciech pochrapywał równomiernie. Stefan odchylił zasłonę, ale na zewnątrz, prócz nocy kotłującej podwórze, nie było niczego.

Zawahał się, ale jednak nie położył się z powrotem, poszedł na palcach do pokoju siostry. Popchnął barkiem drzwi, spojrzął od progu. Pościel leżała rozwłóczona na podłodze, okno zostało szeroko otwarte, Heleny w łóżku nie było.

— Co łazisz, jeszcze noc — odezwał się Wojciech schryplłym głosem, stając nagle za plecami syna.

— Helena zniknęła — szepnął Stefan. Zdziwiony, przełknął ślinę.

Po twarzy starego przemknął strach.

Mężczyźni ubrali się pośpiesznie i wyszli z domu, w dwie różne strony, nie wiedząc, gdzie szukać dziewczyny. Gdzie mogła pójść, sama w nocy?

Wojciech drząc na całym ciele, ruszył środkiem drogi do wsi, serce tłukło mu się w piersiach, a zęby zacisnęły, aż chrupnęło w zuchwie. Nasłuchiwał, lecz nie przystawał, rozglądał się tylko czujnie, jakby coraz szybszy marsz, trucht prawie, mógł mu przynieść ulgę. Nie zobaczył nikogo, nie znalazł córki, czarne płoty i domy odwracały się tyłem do niego.

Stefan okrążył zabudowania, stanął przy skraju łąki, potem przeszedł przez pola nad jezioro, które spało nieporuszone, niewinnie ciche i obojętne, niczym dekoracja z rekwizytami. Zatrzymał się nad samym brzegiem. Nic. Pusto, piach stwardniały, woda gładka. Zawrócił na drogę w kierunku lasu.

Czarno było, gęsto.

Potrząsnął głową, jakby chciał wytrześć wodę z uszu, coś zassało mu się w środku, strzyknęło i odetkało z powrotem. Od drzew skrzypiało, od nocy niósł się szept, niezrozumiały, urywający się nagle, przechodzący w świst. Cień przebiegł mu drogę. Zatrzymał się, popatrzył, błysnęły dwie srebrne monety, ale po kilku sekundach Stefan już nie był pewien, czy widział zwierzę, czy zjawę. Nagle coś schwyliło go za kurtkę, odwrócił się, bezradny, ogłupiały, i stanął, nie mogąc zdecydować, czy iść dalej, czy zawrócić. I wtedy zobaczył siostrę – szła, potykając się, nabierając z każdym krokiem bardziej realnych kształtów, jakby ciało gęstniało, materializowało się. Podbiegł do niej szybko.

— Helena... — zaczął z pretensją, ale spojrzął w nieprzytomną twarz siostry, na jej bosa i brudne ciało, chwycił ją więc tylko za ramiona i potrząsnął.

Zwiesiła głowę, osłabła.

— Helena! Co z tobą? Po co tam poszłaś, tam nie wolno — powiedział z lękiem w głosie. — Tam zły.

Obejrzała się, oczy jej zaszyły mgłą.

— Słyszałam wołanie...

Nogi się pod nią ugięły i byłaby upadła, gdyby Stefan jej nie podtrzymał; chwycił ją w pasie i zaczął z nią iść, wlekąc prawie, byle dalej od tego lasu, od tej duchoty i szeptów.

Świtało, wieś spała, spały jeszcze koguty i psy; nikt ich nie widział.

Wojciech zawrócił do domu, zmęczony i przerażony jeszcze bardziej niż wcześniej. Zawołał od progu Stefana, Helenę, nikt nie odpowiedział.

W kuchni napił się wody, siadł ciężko, zastanawiając się, co powinien zrobić. Pewnie na milicję musi iść, zgłosić. Za godzinę, dwie, pójdzie jeszcze do wsi, rozpyta. Wstyd... córki nie upilnował. Potarł twarz dłońmi, pomyślał o żonie...

Lecz gdy ponownie spojrzął w okno, zobaczył ich: syna i córkę, idących miedzą w stronę domu. Potykali się na nierównościach. Obserwował ich chwilę, potem zbliżył się do drzwi i ściągnął z gwoździa rzemień, związał na nim supeł, zacieśnił. Owinął koniec wokół nadgarstka i nagle ogarnęła go rozpacz, która wyszła przez usta suchym szlochem. Oparł się o ścianę przy drzwiach, spojrzął na Chrystusa na krzyżu, na czarny portret żony ozdobiony zeschniętymi kwiatkami, i zacisnął mocno szczękę.

Stefan otworzył furtkę i poprowadził Helenę do drzwi, w progu puścił ją przodem.

Wojciech uniósł ramię i bez słowa pociągnął rzemieniem po plecach dziewczyny. Krzyknęła cicho i upadła. Uderzył jeszcze raz, zamachnął się znowu, gdy Stefan złapał ojca za rękę.

— Nie trzeba, tate, ona nie rozumie — powiedział.

Stary rzucił ramię i poszedł do stodoły, a tam, gdy wsparł się na ciepłym grzbiecie krowy, pozwolił sobie na upust i wyplakał się w łaciatą sierść, wysmarkał, a spokojne bydlatko przyjęło to na siebie i ani drgnęło.

Wojciech odczekał do siódmej, oblał głowę wodą i gdy usłyszał blaszany dzwon z wieży, udał się do kościoła.

Przeżegnał się szeroko i wcisnął w konfesjonał.

Szeptał długo, urywanie, emocjonalnie.

— Dałaby ci Cecylia za nieupilnowanie córki, oj dała — powiedział proboszcz, gdy Wojciech, trzymając ręce przy piersi, wyznał na koniec, że zbił Helenę.

Wojciech spuścił głowę pokornie.

— Zwiąż ją — nakazał ksiądz. — I módl się o wstawienie
nictwo Najświętszej Pani.

Związanie dziewczyny jednak nic nie dało. Modlitwa też nie.

Stefan i Wojciech czuwali na zmianę, a o świcie, gdy obaj się obudzili, sznur leżał zwinięty na łóżku. Heleny nie było.

Z dziewczyną było coraz gorzej; wymykała się co noc. Każdym świtem Stefan szedł w to samo miejsce przy drodze, pod lasem, aby ją półprzytomną przyprowadzić do domu. Helena natychmiast kładła się na łóżko, wyczerpana, a po dwóch godzinach snu nic nie pamiętała i tylko uśmiechała się ni to łagodnie, ni to bezrozumnie. Pokazywała Stefanowi, zdumiona, swoje podrapane ręce, zniszczoną sukienkę, a potem szła myć włosy i wyjmować z nich gałązki i liście. Później zabierała się w zwolnionym tempie do swoich codziennych obowiązków, zawieszając się często ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

Wojciech zmarniał, szerniał.

— Musisz iść ze mną, tate, muszę ci pokazać, gdzie wychodzi na drogę z lasu — mówił Stefan. — Kto ją przyprowadzi, jak mnie tu nie będzie?

Ale Wojciech nie chciał iść, bał się zobaczyć coś, czego nie udźwignie. Szedł do pracy zgnębiony, wracał jeszcze bardziej przybity, wieczorami przesiadywał w stodole i modlił się razem z krowami, obserwując Helenę, widoczną w oknie kuchni. Z dygotem myślał o tym, że Stefan chce się usamodzielnic i wyprowadzić do Niżynek, gdzie dostał pracę, i o tym, że zostanie sam do pilnowania córki. Ale iść nie chciał; jeszcze nie, pójdzie później, może jutro; głąaskał twarde grzbiety bydła, tłumaczył im, co się stało i jak bardzo się boi o córkę.

A one patrzyły na niego wielkimi oczami, same przestraszone, i żadnej rady z tego nie było.

Aż nagle nocne wyprawy Heleny do lasu ustały jak ręką odjął. Mężczyźni patrzyli na nią niespokojnie, czy coś powie, czy coś robi, ale ona zdawała się nie dostrzegać ich strachów. Zmieniła się. Była spokojniejsza niż kiedyś, niewidzialna i lekka w ruchach jak duch. Na pytania odpowiadała logicznie, choć bez zaangażowania, niby wszystko wróciło do normy, ale... coś gdzieś zaległo w kącie i siedziało ciężkie. Spod łóżka, gdzie trzymała pamiątki po matce, Helena wyciągnęła jej chustkę i blaszaną pozytywkę. Chustkę przykładła do twarzy, wdychając zapach, pozytywkę uruchamiała kilkadziesiąt razy dziennie, co niezwykle irytowało obu mężczyzn. Wydawało im się, że baletnica kręci się na pozytywce zbyt długo, jakby w ogóle nie wymagała nakręcania.

— Maki. I kąkole — mówiła Helena, owijając głowę chustką Cecylii, a Wojciech przełykał ślinę i szedł zwierzyć się krowom.

W końcu Stefan wyjechał, a stary powoli odzyskiwał spokój.

Niedługo to trwało. Już tydzień później zauważył, że córka zrobiła się senna za dnia, bardziej otepiała. Wstawała rano, ale zamiast zająć się tym, co zwykle, siadała przy oknie i nie ruszała się cały dzień. Wyglądała jak laleczka – drobna, z długimi, pszenicznymi włosami i nieruchomymi, błękitnymi oczami, które wpatrywały się albo w przestrzeń za szybą, albo w pozytywkę.

Ojciec, obserwując Helenę, miał wrażenie, że dziewczyna zamieniła się w kukłę.

— Idę do roboty — mówił do niej. — Może pranie nastawisz? Kartofli obierzesz?

Nie odpowiadała, a gdy wracał po południu, siedziała w tym samym miejscu.

Nie pomogły krzyki starego, poszturchiwania, błagania i rozkazy. Patrzyła na niego, czy poznawała, nie było wiadomo, coś śpiewała pod nosem i uśmiechała się łagodnie.

W końcu przestała jeść.

Wojciech zaczął ją karmić, ale jedyne, co przyjmowała, to było mięso i miód. Wszystko inne miała chwilę w buzi, a potem wypluwała, wyrzucając językiem na brodę.

Wojciech wezwał Stefana.

Helena na jego widok jedynie lekko się uśmiechnęła.

— Nie wiem, co robić — powiedział Wojciech. — Może ty jej przemówisz do rozumu.

Stefan pokroił jabłko i usiadł przy Helenie. Pogłaskał ją po głowie.

— Helena. Proszę, jabłko ci pokroiłem.

Ale dziewczyna odwróciła głowę, krzywiąc się. Stefan przyniósł chleb, mleko – to samo.

— Musimy ją zabrać do lekarza — zawyrokował Stefan.

Pojechali na drugi dzień. W przychodni było prawie pusto. Prześmierdły lizolem korytarz emanował smutkiem, jarzeniówki świeciły trupio i drgały, pykając raz po raz. Za oparciami krzesel w poczekalni odłaziła farba zielonkawej

lamperii, a wyblakłe plakaty podwijały się na brzegach. Jakaś przebudzona mucha tłukła się o szybę, w rejestracji dzwonił telefon, w oddali trzasnęły drzwi – Helena w skupieniu oglądała kwiatki na swojej spódnicy, dotykając ich kolejno, jakby je liczyła.

Przed gabinetem lekarskim prócz nich czekały dwie osoby, dyżur pełnił doktor Wierzbicki, nowy lekarz, który osiadł w okolicy ze swoją żoną i nie wszystkich jeszcze znał. Wojciech trzymał ręce na kolanach, powstrzymując je przed drżeniem, a Stefan przechadzał się nerwowo, szurając nogami.

W końcu drzwi gabinetu otworzyły się i Wierzbicki zaprosił Helenę do środka. Wstała i poszła posłusznie.

Niedługo to trwało, gdy lekarz zawołał Wojciecha. Ale Stefan wstał szybciej i powstrzymał ojca gestem; wszedł do gabinetu.

— W domu też nie mówi? — spytał bez wstępów doktor.

— Nie — odparł Stefan. — I nie chce jeść.

— A powinna, i to zdrowo.

Stefan milczał.

— Co jej jest, panie doktorze?

Wierzbicki wstał zza biurka.

— Nie wiem, co jej jest. Jest odwodniona i musi ją przebadać psychiatra. Kiedy była u ginekologa?

Stefan się zawahał:

— Z tego, co wiem, to chyba nigdy nie była.

— Nie? — Wierzbicki uniósł brwi — Ale... nikt jej nie prowadzi?

— Jak to prowadzi? — Stefan poczuł, że się poci.

— Według mnie to jakiś szósty miesiąc.

Stefan przytrzymał się krzesła i usiadł.

Helena patrzyła w ścianę, na której wisiał kalendarz przedstawiający bukowy las... Uśmiechała się do siebie.

Trzy miesiące później, nocą, w szpitalu dla nerwowo chorych, urządzonym w ukrytym wstydliwie miejscu, z dala od ludzi, dyżurująca pielęgniarka wezwała położną do przedwczesnego porodu.

Helena męczyła się długo, mimo to nie wydała z siebie żadnego krzyku czy nawet jęku. W końcu, po dwudziestu godzinach, przyszedł na świat wątyły chłopczyk, zapuchnięty i spokojny jak matka. Przelewał się przez ręce i nie miał siły nawet zapłakać.

Helena przytuliła dziecko i nagle zaczęła śpiewać cichym, niezrozumiałym szeptem; umarła w połowie frazy, na jednej nucie oddechu.

— Biedulo — powiedziała położna, patrząc na wymęczone porodem i nieudaną reanimacją ciało Heleny, i przeżegnała się. — Wieczne odpoczywanie.

Potem wyłuskała chłopca z zakrwawionych pieluch i poprosiła pielęgniarkę o miskę z czystą wodą.

— Trzymaj — poleciła i wręczyła jej zawiniątko z dzieckiem. — Widzi mi się, że ten maluch pójdzie zaraz za matką...

Nabrała wody do aluminiowej nerki na wymiociny i wylewając na głowę dziecka, powiedziała:

— Ja ciebie chrzczę imieniem... — zawahała się. — Mateusz! W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

— Amen — odpowiedziały chórem kobiety, a Mateusz wyprężył się w pieluszkach i zapłakał na całe gardło.

— Cud — szepnęła położna. — Trzeba jeść mu dać.

Wojciech Kusy zwlekał tydzień, zanim pojechał po wnuka. Stefan zostawił go z tym samego; nie przyjął do wiadomości narodzin dziecka. Coś w nim zaległo i nie chciało puścić,

czuł, że wzbiera w nim nienawiść do chłopca, który zyskał życie kosztem jego siostry.

— Oddajmy go do przytułku — powiedział twardo.

Jednak Wojciech nie mógł tego zrobić. Cecylia zesła z portretu i siadła przy nim na łóżku, patrząc mu w twarz tak długo, aż się obudził.

— Co? — burknął.

— Ty wiesz co — odrzekła jego żona i dalej siedziała uparcie, aż wstał.

— Twoja matka do mnie przysła — wyjaśnił Wojciech synowi, więc stał teraz w cuchnącym chemią korytarzu, w pustej, beżowej przestrzeni, tak rozpaczliwej, że cała krew spłynęła mu do pięt.

„Mateusz Kusy, matka Helena Kusy, ojciec nieznany” było napisane w akcie urodzenia, w który stary wpatrywał się długo, nie słysząc, co mówi do niego przysadzista kobieta w okularach, podtykając mu jakiś drugi arkusz do podpisu.

Akt zgonu. „Helena Kusy, córka Wojciecha Kusy i Cecylii Kusy z domu Serafin”.

I został sam na korytarzu szpitala, trzymając te dwa papiery, po jednym w każdej ręce.

Rozdział I.2

(1967–1980)

Wojciech Kusy wrócił z niemowlakiem, który darł się w autobusie przez całą drogę. Dziecko uspokoiło się dopiero w Rutkach, a Wojciech z ulgą pomyślał, że zaraz się go pozbędzie. Małeńka, czerwona twarzączka wyzierająca spod między pieluch nie przypominała mu nikogo i nie budziła w nim żadnych uczuć. Zapuchnięte oczy, ledwo widoczny nos i usta chciwie ssące smoczek. Małe zwierzątko, pomyślał Wojciech i udał się prosto do Suchanków, którzy mieli już czwórkę dzieci i za sowitą opłatą zgodzili się odchowac niemowlę.

Wojciech niezgrabnie podał zmęczonego płaczem chłopca Suchankowej, stropił się nieco, odwrócił i pospiesznie odszedł.

Doloż moja, dolo zaśpiewały garnki suszące się na płocie, a jeden pękł, gdy Wojciech zamykał furtkę. Cecylia podrep-tała za Wojciechem drobnym kroczeniem, to wyrzekając na niego, to milcząc przeciągle.